

"How now? a rat? dead, for a ducat, dead! Szczur załęgły podziemny. Twarda, śmierdząca wołowina, ciemnoczerwona, mdła, o czterech odnóżach i ogonie, ot - szczur."

Każda wówczas noc, rozpoczynała się piwnicznymi popiskiwaniami, zrazu delikatnymi, cichymi skomleniami, a te - stopniowo przeradzały się w przeciągły stukot, tupanie, coraz to głośniejsze, bardziej intensywne, piski tężały, przechodząc w wycie, nie takie zwyczajne - chrapliwe. I owo chrobotanie, chrapanie, wstrząsało wieczorem, drżały ściany, podłogi i sufity, a babcine firany, dopiero co wykrochmalone, falowały zgodnie z nadanym im pędem.

- To szczury - szeptał dziadek. - Pod miastem są ich miliony.

Miliony bezimiennych członków podziemnego państwa, szeregowych członków, mas - pracujących nad utrwaleniem tego, co pozostanie po uderzeniu atomowym, czekających na chwilę, gdy wreszcie big bang wyrwie murom zęby krat, stropy zapadną się jednym westchnieniem, a słoneczne światło, dotąd reglamentowane, przestanie w mgnieniu szczurzego oka być produktem peweksowo deficytowym. Fascynowało mnie to oddolne królestwo, świat ukryty pod powierzchnią tego, którego nie byłem tak bardzo ciekaw, był oczywisty, akuraty, pozbawiony emocji, a telewizyjny generał w śmiesznych, wielkich okularach, wygłaszający wciąż to samo przemówienie, martwą swoją fizjonomią uprawomocniał przekonanie, że nic godnego uwagi zdarzyć się nie może. I, pewnie, nie zdarzyło by się, gdyby nie owe fiszki, wsunięte między żurnalowe strony, chronione przez bezgłowych modeli, które - raz po raz - znajdowałem w czeluściach babcinej spiżarni. Na jednej z nich odkryłem taki oto tekst:

"Zielona wrona,

dziób w wężyk wyszamerowany,

kto nie da drapaka,

kto nie chce zakrakać,

ten będzie internowany."

Przeszło mi przez myśl, że owo internowanie - musi być równie okrutne, co, dokonywana przeze mnie, z sadystyczną dokładnością, papierowa dekapitacja, postanowiłem podzielić się tym straszliwym przeczuciem z kimś, kto, w mojej ocenie, zawsze wiedział wszystko.

- Internowanie to nie taka straszna rzecz, są gorsze - powiedział dziadek. - Mnie bolszewicy godzinę trzymali przed plutonem egzekucyjnym, zanim mnie puścili.

- Puścili? - zdziwiłem się.

- Tak - westchnął. - I skazali na prawie czterdzieści lat życia w Polsce Ludowej.

- Nie przesadzaj - zza drzwi wychyliła głowę babcia. - A bo ci źle? Masz co jeść? Dom masz? Walki ci się zachciewa? Co?

Dziadek machnął ręką.

- Gdzie teraz są bolszewicy? - zapytałem.

- Pokażę ci. Jutro, z samego rana.

Następnego dnia, postawił mnie dziadek przed ogromnym budynkiem - odgrodzonym od świata posępną szarością tynków, grubymi, strzelającymi rdzawą poświatą kratami w oknach odstraszały nieproszonych, wydało mi się, że w tym miejscu wszyscy są nieproszeni, że ten dom, w samym środku wielkiego miasta, istnieje jedynie dla siebie, żyje swoim własnym życiem, oddycha do wewnątrz, niczym

mityczny potwór, który, zrzędzeniem losu, znalazł się w miejscu obcym, nieprzyjaznym i tak samo obcy i nieprzyjazny, z bramnej ciemności paszczy co chwilę wypluwał: ludzi, samochody, wyrzygiwał - niczym upodlona Szczagielska.

- To jest komitet miejski - oznajmił. - Gniazdo bolszewików, centrum wszelkiego złego.

Zabrzmiało to dziwacznie - w zestawieniu z obrazem śmiesznego faceta w okularach przetransponowanych z kreskówki o pszczołce Mai, gościa, z którego śmiała się i babcia, i tato (mimo iż należał do partii), i dziadek wreszcie - za każdym razem, gdy ów oficer pojawił się na ekranie babcinego Rubina, dziadek doprawiał mu kwadratowego wąsa i nazywał go Hitlerem, co spotykało się z żywą reakcją - jak zawsze na posterunku - Przybyłka, który natychmiast wtrącał, że Hitler był jedynym w swoim rodzaju i do tego abstynent, a generał - zwłaszcza ten - po kacapowemu wychowany - pić musi, inaczej nie świeciłby lampasami.

Gdyby tak można było mieć trochę trotylu – ciągnął dziadek, wpatrzony we framugową szarość posępnego dostojeństwa komitetu miejskiego. - Gdyby człowiek był młodszy I miał trochę tego trotylu...

- Co to takiego? - zapytałem, skąd kilkunastoletni gówniarz mógł wiedzieć cóż to takiego ten trotyl, a raczej, co naturalne – chciał wiedzieć – w ustach dziadka wszystko brzmiało jak pewnik, niezrównany aksjomat I oczywistość nad oczywistości, niezrozumiałe frazy bezwzględnie wymagały potwierdzenia, wyjaśnienia, wyluszczenia, dziadek był w tym mistrzem, nikt tak jak on nie potrafił objaśnić, pokazać, wytłumaczyć.

- Za pomocą tego trotylu niszczyliśmy kiedyś niemieckie pociągi...

"Niszczyliśmy. Nie – ja niszczyłem, zwyciężałem, moja chwała niezmierna - ale my. My. O tempora! O mores! Za młodzieńczych czasów dziadka wszystko zdarzało się kolektywnie – I małe zwycięstwa nad faszystami, I niezapowiedziane porażki, I nawet wspólne dziewczyny, ogromny Zeppelin wlatywał na wysokość chmur I szybował, pokolenie mamy było niczym stado balonów, puszczonej wolno przez pijanego sprzedawcę, siłą oczywistą wzbitych nad głowy postronnych widzów I pękających daleko pod stratosferą. Czas dziadkowy był bezimienny, oznaczony tysiącami grobów nieznanymi żołnierzy, mamine lata zaś – okraszone michnikowo, kuroniowo, wałęsowo – różnokształtne tęczą mydlanych baniek, znikających prawie natychmiast po urodzeniu, bezwolnych – pięknych jedynie."

Cóż wspólnego z hitlerowskimi składami miał partyjny gmach – wiedział jedynie dziadek – nie zapytałem, może powinienem, choć pewnie I tak wówczas nie zrozumiałbym, była w tym jakaś myśl, idea – niedostępna nastoletniemu umysłowi, niedojrzałemu kojarzeniowo – doskonale wiedział co mówi – i ja wiedziałem, że wieczorem, będę musiał opowiedzieć wszystko babci – o porannym spacerze, o lokomotywie, która wjechała na tor do zabicia, wreszcie – o tym trotylu...

- Po co trotyl? Wystarczy im trochę święconej wody!

Na nocnej szafce, przy babcinym łóżku, stała Panienska z Lourdes, onegdaj wyłowiona przeze mnie z zapaczkowanej austriackiej przepastnicy, niewielki bukłak o przenantyjszym kształcie, wypełniony przezroczystym liquidum po sam czubek madonnowej korony, co wieczór adorowanym przez babcie, lustrowanym, wymemłanym wymodleniem, o ile tylko cokolwiek płynnego może zostać wymemłane, stała I – kryształowo nieruchomymi oczyma uświęcała, błogosławiła I płynęła babcinymi modlitwami, posuwała się wraz z opuszczanymi w dół zużytymi paciorkami różańca. Otworzyć – było nie sposób – by wydobyć wnętrze, trzeba by było ukreślić Dziewicy głowę, co – z przyczyn chrześcijańsko oczywistych – było czynnością niewykonalną. Jedynie schizmatyk, lub – samobójca mógłby poważnie się na takie świętokradztwo – bukłaczna woda więc trwała, nie niepokojona przez nikogo, trwała jako narzędzie babcinych przedsennych polsko – łacińskich tortur, Ave Maria, Dominus tecum, benedicat tui in mulieribus et benedictus fructus ventris tui...

- A jeśli się wyleje? - postanowiłem zasięgnąć opinii bezpośrednio związanej z płynnym wiedeńskim

prezenterem.

- Tobie się nic nie stanie, kochanie, jesteś dobry. Ale ci, co szerzą zło, rozplną się, spalą w ogniu, który ta woda wzniesi.

- Amen! - zza uchylonych sypialnianych drzwi dobiegł głos dziadka – Przestań już temu chłopakowi w głowie mącić, woda jak woda, ale trotyl, pamiętaj synku – trotyl!

- Głupi – zachnęła się babcia – stary dziad a głupi. Lepiej dopilnuj, żeby trutkę na szczury wreszcie położyli!

Dorośli nazywali nocne popiskiwanie plagą, dziwna to była plaga, niezwykajna, walka raczej, przyklejone do poduszki ucho skrzętnie wyławiało odgłosy walki, krzyki śmiertelnie rannych, nawoływania do odwrotu. Podziemne życie stanowiło nieustającą wojnę, konkurujące ze sobą klany, frakcje, partyjki, ścierały się ze sobą wśród chłodu kamienicznych rur, czyniąc wiatr, targający zwisające bezwładnie sznury uszczelniających mosiężne złącza konopi, cały ten świat rozgrywał się kilkanaście metrów pod podłogą, słyszałem, jak nikał w ciszy, by po chwili znów wystrzelić salwą przedśmiertnych kwileń, tak to właśnie gryzoniowa demokracja tężała, dojrzewała do ostatecznego zrywu, którego, przy braku rozdrobnionej papkowatej strychniny, wszyscyśmy bali się, jak ognia, jak gdyby owo podziemne państwo miało, dnia któregoś, zastąpić nasze, zgnusiałe, znieruchomiałe, skażone hipomimią gęby kaprawej, robotniczo – chłopskiej, przaśnej I nieruchawej, sierpem I młotem wytatuowanej.

- Szczury to inteligentna nacja, znacznie inteligentniejsza od nas, ludzi – mawiał doktor Stach, czasem wpadał na herbatkę, zalaną w szklance do połowy, uzupełnianą przez babcie domowym spirytusem, do wypukłego menisku. - Zobaczcie, kiedyś zeżrą nas wszystkich.

"Gdy, kilka lat później, dowiedziałem się, że tak właściwie, to rozdziobią nas kruki I wrony, przyznam, poczułem się nieswojo, żyjąc w samym środku cmentarnego trójkąta nie przypuszczałem, nie miałem pojęcia o zagrożeniu, czyhającym na każdym kroku. Bo co stworzenie – okazywało się być groźniejszym, bardziej łakomym, krwiożerczym. Lupus. Rattus. Commune."

- W społeczeństwie szczurów nie ma miejsca na indywidualności – opowiadał rozanielony ognistym napojem chirurg – a rządzi tam jedynie prawo ogółu, dobrostan całego narodu, powinniśmy się od nich uczyć, a nie tępić, ja wiem – kiwał głową – że niby choroby przenoszą, dżumę i inne cholery, ale czy my sami nie zarażamy? Gruźlica? A syfilis?

- Dałby pan już spokój, doktorze – krzywiła się babcia – gdzie tu u nas, spokojnych ludzi syfilis?

- Na szczęście – ciągnął Stach – gryzonie nie są tak pruderyjne, choć żyją w podobnej jak my, niewiedzy. Lecz, gdy któregoś dnia wyjdą na ulice, wiem to, stracą swój pierwotny ryt, popadną w bezwład, pchane osobistymi ambicjami przywódców, zagryzą nas, a potem siebie wzajem. Ot co, kochani moi. Siebie wzajem zagryzą, zniszczą to, co przez lata komunistycznej nędzy budowali w podziemiu, zniwelują swoją sprawczą moc.

- Jak bolszewicy. – wtrącał dziadek. Nie wiedzieć czemu, używał tego słowa we wszystkich znanych zapewne sobie kontekstach, okolicznościach I przypadkach.

- Niezupełnie. Bolszewicy są jak obcy, ci, z Wojny Światów, przybywszy, zdobywszy, okopawszy się, czekają na to co zdarzyć się musi.

- Tylko kiedy? I, czy naprawdę musi? - babcia, z dokładnością iście zegarmistrzowską, dopełniała doktorską szklankę etanolową dozą.

- Musi. Taka jest kolej rzeczy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 25.07.2012 15:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.